

# Początek, rozwinięcie, zakończenie

czyli rozmowa z Zofią Kucówną

— Role teatralne, realizowanie własnych monodramów, wykłady w Szkole Teatralnej, pisanie książek... strasznie aktywne życie Pani prowadzi. A co z tego daje największą satysfakcję?

— Okres mojej największej aktywności twórczej skończył się 10 lat temu, kiedy wyszłam z Teatru Narodowego, a może jeszcze wcześniej... w czasie dużego kryzysu zdrowotnego. Przedtem, mimo że miałam 1,63 wzrostu zawsze chciałam ogarnąć sobą całą przestrzeń sceniczną. Wszystkimi siłami wypełnić ją swoją energią. Teraz już nie — jestem bar-

wiedza o tym przychodzi później i każdy musi sam ją zdobyć. Ja na przykład w szkole bimbalałam sobie, pracowałam od sesji do sesji i w gruncie rzeczy nie zdawałam sobie sprawy z istoty tego zawodu. Dopiero jak weszłam w teatr, kiedy na własne konto zaczęłam zbierać klęski i zwycięstwa, to ta przygoda z teatrem stała się najważniejszą awanturą mojego życia. Podporządkowałam zawodowi wszystkie sprawy prywatne. Dziecka nie mam, bo uwiodła mnie wspólna passa w moim życiu zawodowym, przerwanie jej — naj-

dyńskiego przypadła na sam Pani szczyt kariery zawodowej na przykład... A więc była to chęć sprawdzenia się w innych warunkach, czy próba własnej wypowiedzi politycznej, co sugerowały np. realizowany przez Panią reportaż Krallówny.

— Iredyński był może nawet głównie próbą sprawdzenia się. Odkrycie, że tylko własnym głosem i siłą emocji, w bardzo skromnych warunkach, bez partniera i scenografii, potrafię tak „zaczarować” ludzi, że słuchają mnie w skupieniu przez półtorej godziny, było dla mnie niesamowitym przeżyciem. Iredyński udokumentował, że potrafię być „magiczna” albo „porażająca”,

dziej zdystansowana. Może dlatego, że mam trochę mniej sił, może role, jakie otrzymuję, nie wymagają aż takiego zaangażowania emocjonalnego. Opadł mi też trochę entuzjazm dla samej siebie w teatrze... Coś się zmieniło w relacji ja — teatr. Oczywiście, jestem szczęśliwa, że mnie angażują, że pracuję. W sytuacji, kiedy wiele moich koleżanek nic nie robi, nie dostaje żadnych propozycji, uznać muszę siebie za szczęściarę, bo pracy mam dużo i nie narzekam.

Bardzo ważna stała się dla mnie praca w szkole. We właściwym czasie przyszła. To prawdziwa przyjemność obcować z młodymi ludźmi, wpływać na nich, kształtować ich... Traktuję te zajęcia jako zwieńczenie mojego życia zawodowego. Zawsze czegoś się ode mnie dowiedzą, nawet jeśli teraz nie zdają sobie z tego sprawy, to kiedyś tam w przyszłości, mój głos się w ich życiu odezwie...

— A czy mówi Pani swoim studentom o dyscyplinie, jakiej wymaga ten zawód, o tym ile aktor musi mu poświęcić — i życia osobistego, i być z sobą czasami? I czy w to wierzą?

— O wszystkim rozmawiamy, kto wie czy takie rozmowy nie są właśnie najważniejsze... A czy wierzą? Mówię, że prawdziwa

pierw na 9 miesięcy, a potem na 1,5 roku — wydawało mi się niemożliwe... Urodziłam się w maju, jestem „spod znaku Byka”, nie umiem dzielić uwagi i uczuć.

— Wzmógł się apetyt na zagranie wszystkiego?...

— Tak mi się układało w życiu, że próbowałam bardzo różnych ról — od charakterystycznych po heroiny. One zresztą nie sprawdzały się w moim wykonaniu — brakowało mi pewnych warunków, moim zdaniem głównie zewnętrznych. Klóciły się czasem z predyspozycjami psychicznymi. Zawsze nazywałam siebie blazmem lirycznym o zabarwieniu dramatycznym. I w tego typu rolach najlepiej się czułam. Natomiast moja zewnętrzność — ten typ urody trochę ludowej — predestynowała mnie do ról charakterystycznych, komicznych. Grałam je, owszem, ale nie powiem, żeby ludzie spadali z krzeseł ze śmiechu. Role, jakie uważam za naprawdę udane, to te, które miały zabarwienie liryczne. — Panna Młoda z „Wesela”, Sonia w „Zbrodni i karze”. Bronka w „Dziękuję ci Nowolipki”.

— A skąd się wziął monodram w Pani życiu? Czy zawodowym? U aktorów, którzy niewiele grają, bywa sposobem dowartościowania się, ale „Maria” Ire-

albo „elektryzująca” — że użyję określeń z recenzenckiego sztafetu słów. A czy Krallówna była próbą wypowiedzi na tematy aktualne? Na pewno tak... Te 3 reportaże: o Goździku, Prokopiaku i Walentynowicz powstały w czasach bardzo gorących — na początku lat osiemdziesiątych. Te trzy głosy z przeszłości doprowadziły do syntezy obrazu rzeczywistości, w jakiej wtedy żyliśmy. Potem Dąbrowska — na zupełnie innym diapozycie uczuciowym. Też czas ją zainicjował — wojenny... Robiłam ją w Muzeum Dąbrowskiej; wtedy sztukało się drugiego człowieka, ale ludzie potrzebowali kontaktu intymnego, nie na wielkie sale. Pamiętam, że niechętnie po przedstawieniu wychodzili; częstowałyśmy ich więc z Basią Musiałową herbatą, sokiem porzeczkowym i długo się jeszcze rozmawiało po tym, czasem do późnej nocy...

Marię Curie-Skłodowską napisała dla mnie Mira Michałowska — na mój chudy czas zawodowy, a wobec Illakowiczówny miałam dług do spłacenia. Pamięta pani, ona umarła w czasie stanu wojennego. Trwał akurat bojkot, otrzymałam propozycję: czy mimo wszystko nie chciałabym powiedzieć kilka jej wierszy w telewizji, by ją ucz-

ci... Zastanawiałam się, miałam duży kłopot, z podjęciem decyzji, ale pomyślałam sobie — nie. To nie będzie zrozumiane jako hold dla Illakowiczówny, ale jako sprzeniewierzenie się koleżeńskiej solidarności. Od czasu do czasu męczył mnie ten niespłacony dług i stąd się wziął wieczór jej poświęcony.

— Kiedyś się mówiło, a i ostatnio często do tej teorii powraca, że artysta powinien zajmować się tylko swoją twórczością, z dala od spraw, które się wokół niego rozgrywają. Czy zgadza się Pani z tym?

— Nie. Ja bym tak nie umiała. Mnie interesuje wszystko co się wokół mnie dzieje. Nie umiem być wobec tego obojętna. Do pracy, do życia w ogóle, inspirowała mnie życie — nie literatura, ani zacięcie „własnej pracowni”. Poza tym ja bardzo lubię ludzi i jestem ich nieustannie głodna. Może dlatego, że miałam do nich szczęście — sportykałam ludzi, którym zależało na moim losie i od których się wiele uczyłam. O tym na przykład, że zostałam aktorką i porzuciłam studia plastyczne zadecydowała moje nauczycielka polskiego, profesor Romankówna. A jeszcze wcześniej bardzo ważna była w moim życiu inna nauczycielka pani Zofia Wolska, nasza... rezydentka, tak to się chyba nazywa?... Moi rodzice jej pomogli, gdy wysiedlona przez Niemców ze Śląska została bez mieszkania, bez środków do życia. I w zamian za to ona uczyła mnie i mego brata tych przedmiotów, jakich w szkole nie było — polskiego, geografii, historii. To pani Zofia wbiła mi do głowy zasadę: w każdej okoliczności, mówić, musi być wstęp — rozwinięcie — i zakończenie... I czy pani wie, że to mi zostało na całe życie?! Nawet kiedy list pisze, to zawsze pamiętam, że musi być wstęp, rozwinięcie i puenta, czyli zakończenie... Ona z kolei pchnęła mnie do pisania. Podobnie się jej moje listy.

— Takie ze wstępem, rozwinięciem i zakończeniem?...

— Tak właśnie...

— Dlaczego chciała się Pani wypowiedzieć w książce?

— To był szczególny okres w moim życiu. Zostałam zupełnie sama, po rozwodzie z mężem — byłam bez pracy, miałam wprowadzić etat we Współczesnym, ale trudno powiedzieć, żebym była aktorką zajęta; nie grałam, nie bardzo wiedziałam co ze sobą zrobić. Jak wypełnić czas, którego zaczęło być za dużo. Był czerwiec, zbliżały się w dodatku wakacje... I znowu ktoś pomógł. Elżbieta Kozłowska, która pracowała w wydawnictwie białostockim. Zajrzała, dosyć niedyskretnie, w moje zeszyty i powiedziała — Zośka, zrobimy z tego książkę. Jak ci się ta książka nie będzie podobała, to jej nie wydamy, ale to ci zorganizuje czas, potraktuj to jako terapię.

Pojechałam z nią na wakacje. I ona mi narzuciła reżim: rano — pływanie, potem — pisanie, w południe — pływanie — drzemka — pisanie, a wieczorem znowu pływanie. I jak przychodziłam na noc do swego legowiska, to nie myślałam już o niczym, tylko zasypiałam.

Więc mam szczęście do ludzi; jak ktoś mnie zawiedzie to za-

wciśnie i popchnie mnie w jakimś kierunku. A ja pozwalałam się popychać. Aczkolwiek tylko do pewnego momentu. Czasem wybuchają konflikty. Bo w najbardziej niespodziewanym momencie potrafiałam kategorycznie powiedzieć: NIE!

— Czy kieruje się Pani w życiu emocjami?

— Jestem straszny raptus. Teraz, z wiekiem trochę mi to przechodzi, poza tym samotność bardzo człowieka wycisza...

— Na co zwraca Pani uwagę w przyjaźni. Czego Pani wymaga od ludzi, czego od nich oczekuje?

— Dawniej byłam bardzo rygorystyczna, dziś już nie stawiam żadnych wymagań — wyrażam po prostu zgodę na wszystkich ludzi, którzy chcą ze mną być i towarzyszyć mi w moich potyczkach z życiem.

— A czy gdyby Pani zaczynała życie od nowa, to też by Pani rzuciła malowanie, wybrała aktorstwo i robiła po kolei wszystko to samo?

— A, nawet ciekawa jestem jak by się to wszystko potoczyło, gdybym wybrała inaczej. Na pewno byłoby równie interesujące, bo to od nas samych zależy, a mnie się żyć podoba; poświęcam temu problemowi dużo uwagi.

— Jaka będzie Pani następna książka? Czy złoży się na nią także takie osobiste refleksje-felietony?

— Chyba już inaczej nie umiem, ale strasznie mnie jedna rzecz kusi — w szkołach, przez które przeszłam, uczyłam się ze wspaniałymi ludźmi — Janka Pawlikowska, Bronek Chromy, Andrzej Pietsch, Kalina Jedrusik, Zbyszek Cybulski, Bobek Kobiela, Bogusław Bilewski, Jurek Jarocki, Jurek Grotowski... Pokolenie urodzone w latach trzydziestych, na które po wojnie spadło ZMP. Ta organizacja wywarła na nas wszystkich ogromny wpływ. Bez względu na to czy się do niej należało, czy nie. Wierzyliśmy w Makarenkę; właściwie, to wierzyliśmy — chcemy wierzyć — do dziś, choć już wiemy, że w chwili, gdy pisał „Poezat pedagogiczny”, wiedział, że całą tę jego młodzież wymordowano; ale pisał, bo i on wierzył, że idea zawarta w „liniach perspektywicznych” jest mimo wszystko piękna. Czy pani wie, że po tym wszystkim co się z nami stało, co przeszliśmy i co już wiemy — bo wszystko zostało objawione — wzruszamy się, kiedy słyszymy pieśni masowe, jakie się wtedy śpiewało? „Tyś się ręk, miliony ręk”, albo „To idzie młodość”, albo „SP, hej SP”, albo „Marsz entuzjastów”. Choć udajemy, że nie, że wcale. Wzruszamy się tak, jak nasi rodzice wzruszają się słuchając „Ostatniej niedzieli”. Bo to są piosenki naszej młodości, a każda młodość, każdego pokolenia jest piękna i niewinna. Młodość śpiewa, nie analizując słów.

Bez względu na to, co mówi się o moim pokoleniu, bardzo dramatycznym i oszukanym, jest ono ostatnim, które potrafiło idealistycznie pracować dla innych, bo ma w sobie tego makarenkowskiego, „kolektywnego” ducha. Chciałabym o nas napisać, tamtych, wtedy. Odszukać sensualną wartość tamtych lat.

— Wierzę, ale czasami robi mi się bardzo smutno. A czy Pani wie, że odbyliśmy tę rozmowę według reguły pani Wolskiej — był wstęp, potem rozwinięcie i jest zakończenie, czyli puenta. Dziękuję pani bardzo.

Rozmawiała  
IZABELA ŚLIWONIK